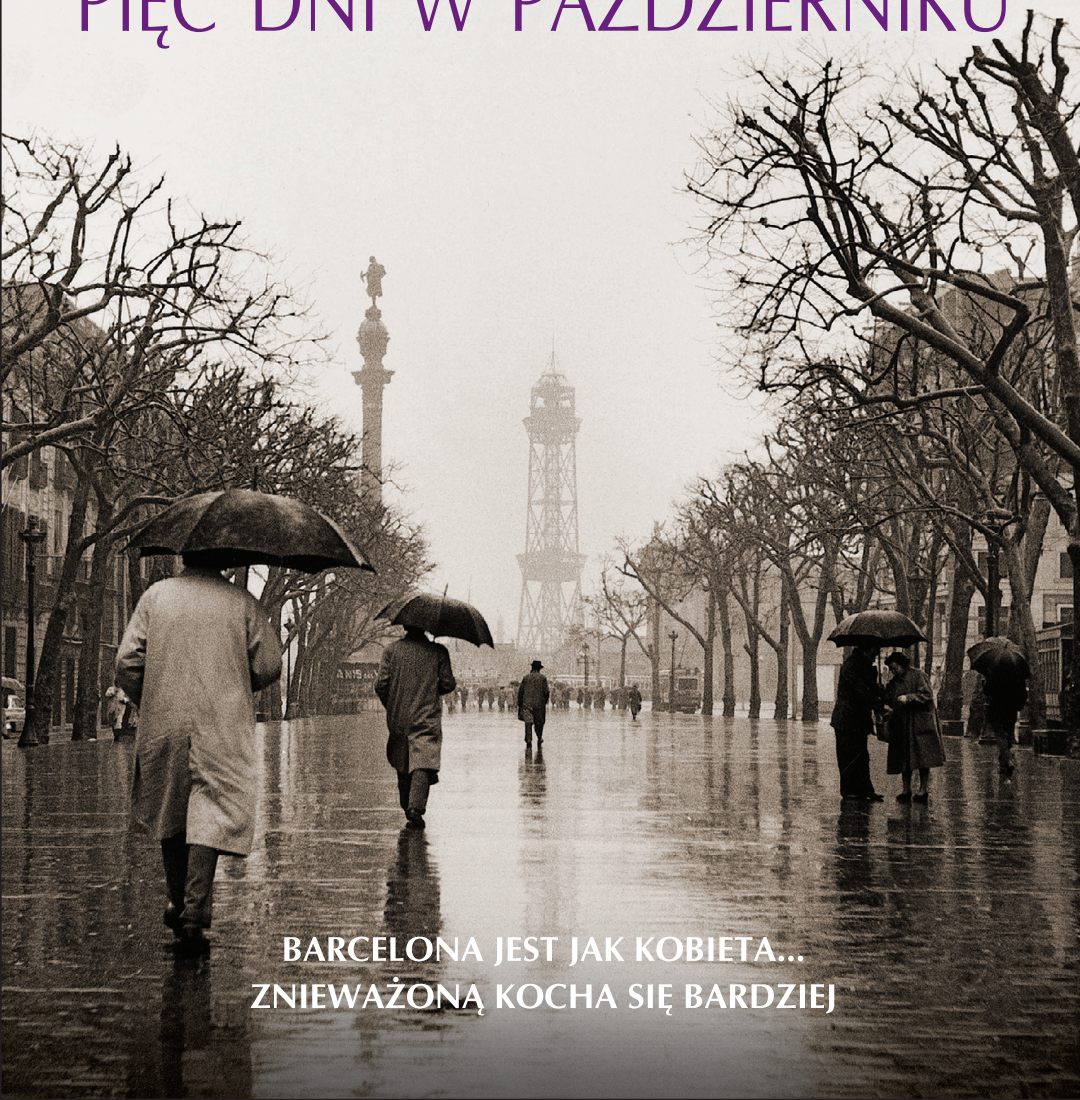


JORDI SIERRA I FABRA

PIĘĆ DNI W PAŹDZIERNIKU



BARCELONA JEST JAK KOBIETA...
ZNIEWAŻONĄ KOCHA SIĘ BARDZIEJ

1

Cisza w sypialni, kiedy jedno z małżonków śpi, a drugie, już rozbudzone, podciera się na łokciu i patrzy na śpiącego, potrafi być pełna dźwięków.

Głosów.

Czasem ciągle jeszcze słyszał głos Quimety.

Kto by przypuszczał, że tobie, w twoim wieku, trafi się druga szansa.

Zawsze trochę uszczypliwa, ironiczna.

I szczęśliwa.

Szczęśliwa, póki nie zaczęła się wojna, rak...

Po prostu jesteśmy sobie potrzebni. — Spojrzał na młode ciało Patro.

Głuptas z ciebie. Wiesz, że się cieszę.

Wiem.

Ale czasem, jeszcze w łóżku, zanim otworzył oczy, pragnął cofnąć się w czasie, znaleźć się w domu na ulicy Córcega, z żoną śpiącą obok niego, kiedy życie było proste, a on za chwilę wychodził do pracy tropić złoczyńców w Barcelonie rozjaśnionej w słońcu, wolnej.

Drobnych złodziejasków albo i jakiegoś przestępcę.

Teraz miasto było ich pełne. Bezkarci poruszali się ulicami, obnosząc atrybuty wiktorii, podczas gdy oni, pokonani,

odchodzili, w miarę jak czas płynął, martwi, wypędzeni, na zawsze uciszeni.

Patrzył na Patro.

Na jej zuchwałą młodość, niczym niezmaconą urodę, kształt ciała pod ciepłym kocem.

Spała na prawym boku z twarzą zwróconą w jego stronę, jedną ręką skrytą pod poduszką, a drugą, lewą, wyciągniętą i dłonią zwróconą ku górze. Wydawało się, że o coś prosi. Wydawało się, że prosi o jałmużnę.

Czasem też w jego snach pojawiała się Dolina Poległych. Wtedy budził się nagle zlany potem, ze ściśniętym gardłem, sztywnym ciałem, przepełniony grozą. Ciemności nocy potęgowały torturę. Wyciągał wtedy rękę, dotykał Patro, czuł jej ciepło, gładził nagą skórę. Uspokajał się, uciszało się walące jak oszalałe serce i zasypiał spokojny.

Spokojny.

Dziwne słowo.

Gdy nadchodził świt, w szarzącym, widmowym półcieniu wpatrywał się w Patro i zastanawiał, jaki szczęśliwy traf, jaki cud sprawił, że końcowe lata swojego życia może spędzać u boku kogoś takiego jak ona.

Bo bez Patro nie potrafiłby już żyć.

Odsunął jej włosy z twarzy, odsłaniając miękki kontur, gęste brwi, długie rzęsy, prosty nos, pełne wargi, podbródek...

Spała nago.

Zawsze.

Przytulić ją, zapomnieć, zatonać w tej bajkowej oazie i wierzyć, że życie, wbrew wszystkiemu, nie jest takie złe.

Pobożne życzenie.

Patro nagle uchyliła powieki.

Uśmiechnęła się.

— Dzień ...bry... — zamruczała, połykając połowę liter.

— Dzień dobry — wyszeptał.

Patrzyli na siebie przez chwilę. Sekundę, dwie, trzy.

Wyciągnęła rękę i pogłaskała jego policzek.

Nie pierwszy raz zadziwiała go takim gestem.

— Czy coś się stało? — spytała ciepłym głosem.

— Nie.

— Kiedy tak patrzysz na mnie...?

— Co wtedy?

— Zaczynam się bać.

— Dlaczego?

— Nie wiem, o czym myślisz. Jesteś taki poważny...

— Piękno boli.

— Zawsze to powtarzasz.

— Bo to prawda.

Patro przysunęła się, przygarnęła do niego tak, żeby ramieniem otoczył jej szyję. Przyłgnęła nagim ciałem do jego ciała, nogę położyła na jego nogach, a dłoń na piersi. Promieniowała ciepłem nie tylko dlatego, że wynurzyła się spod ciepłego koca. Taka była, delikatna, czuła, tak wyrażała pragnienie kochania go, bycia przy nim blisko.

Języczek u wagi.

Granica między tym, co było, i tym, co jest.

Miquel Mascarell przytulił ją.

Dziwna para. Ojciec-kochanek, kobieta-z-sennego-marzenia, poraniony mężczyzna, odrodzona dziewczyna, zapomniany policjant, odkupiona prostytutka...

Dwie odległe wyspy na oceanie życia.

Pocałował ją w czoło i mocniej przygarnął, jak zwykle robił w chwilach gniewu albo rozpacz.

— Patro...

— Co?

— Wiesz co.

— Nie, nie wiem. — Uniosła nieco głowę, żeby spojrzeć mu w oczy.

— Powinnaś znaleźć sobie kogoś młodego, z przyszłością.

— Znowu zaczynasz? — powiedziała cicho.

— Tak.

— Proszę cię, przestań.

— Nie mogę.

— A ja nie chcę tego słuchać.

— Gdybyś miała dziecko...

— Zwariowałeś?

— Ja nie będę długo żył.

— Skąd wiesz?! — zawołała. — Chcesz, żebym urodziła dziecko? Panna z dzieckiem?

— Nie. Nie ze mną. Kiedy wyjdiesz za kogoś.

— Tak, zrobię to kiedyś, tobie na złość. — Jeszcze bardziej się przysunęła. — Zresztą, kto by się we mnie zakochał?

— Jesteś śliczna i młoda. Nie masz jeszcze trzydziestu lat, to pełnia życia...

— Trochę już tę urodę zużyłam...

Pocałował ją, czując, że zadrżała.

Głos Quimety.

Miquel, czasem jesteś taki głupi.

To co mam zrobić?

Niczego nie rozumiesz, prawda?

Jasne, że rozumiem.

Więc żyj. Dostałeś dar od losu. Korzystaj z niego. Bez ciebie zarabiałaby na ulicy.

A ja dalej tkwiłbym w pensjonacie na Rambli.

Nie, już by ciebie nie było, już byś nie żył.

Cholera, Quimeta...

— Miquel. — To już głos Patro.

— Tak?

Nie odpowiedziała od razu. Uniosła się na łóżku i uklękła, pochylona ku niemu. Białe piersi połyskiwały w cieniu niemal tak jak i jej oczy, teraz szeroko otwarte. Ujęła jego twarz i uśmiechnęła się czule.

Jak dziewczynka.

— Dlaczego nie możesz zrozumieć, że jestem z tobą szczęśliwa,

że czuję się bezpieczna, spokojna i, co najważniejsze, że cię kocham? Dlaczego?

— Jestem stary.

— Jesteś dojrzałym mężczyzną.

— Tak.

— I podobasz mi się.

— Nie bądź...

Patro zamknęła mu usta pocałunkiem.

Gorącym pocałunkiem.

Pobudzającym wszystkie zmysły.

Chciał ją zatrzymać, nie pozwolić uciec, ale zwinnym ruchem nóg odepchnęła się od niego. Wyskoczyła z łóżka.

Stała na podłodze, elektryzująca, prowokująca.

— Chodź.

— Nie. — Pokręciła głową. — Zmarnowałeś okazję.

— Na chwilę.

— Już nie. Późno się zrobiło.

— Dokąd idziesz?

— Powiedziałam pani Anie, że jej pomogę w sklepie.

Pasmanteria. Zupełnie jak gdyby czas się zatrzymał. Wkrótce miało minąć dziesięć lat od dnia, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, w styczniu tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego, na moment tylko, zanim rzuciła się do ucieczki.

Dziesięć lat.

Z czego osiem i pół spędził w koszmarze o nazwie Dolina Poległych.

— Dlaczego córka nie pomoże pani Anie?

— Mam ci przypominać, że chodzi do szkoły, ma lekcje do odrobienia i różne takie sprawy?

Córka pani Any też urosła. Nastolatka, energiczna, silna, pewna siebie.

Miquel Mascarell położył się i zamknął oczy.

— Może byś trochę popisał?

— Myśli mam często mało klarowne i wspomnienia się

zacierają.

— Zwykła wymówka.

— Kto to będzie czytał?

— Ja. — Po chwili dodała: — Czy to ważne, kto będzie czytał?
Ty pisz! Chyba że wolisz iść na spacer do parku, jak inni?

Nie powiedziała „starcy”.

Gdy otworzył oczy, Patro już nie było.

Podłożył ręce pod głowę.

Tak, wbiła sobie do głowy, że powinien pisać.

Kogo będą interesować jego wspomnienia?

Wspomnienia przegranego komunisty we frankistowskiej Hiszpanii.

Może kiedyś będą coś warte, po dwudziestu, trzydziestu, pięćdziesięciu latach.

Kiedy staną się świadectwem czasów.

Kiedy opowiedzą historię inną niż ta pełna kłamstw, którą już teraz pisali zwycięzcy.

To by oznaczało, że za dwadzieścia, trzydzieści, pięćdziesiąt lat wróci nadzieja.

Piękne słowo.

Druga wojna światowa skończyła się trzy lata temu i nic się nie zmieniło. Inne państwa odwróciły się od Hiszpanii, zaścianka Europy. Dostyć miały problemów z odbudową własnych krajów. Ostatni bastion faszyzmu nic już nie znaczył i nikomu nie zagrażał. W końcu Hiszpania pod rządami Franco, poza stworzeniem Błękitnej Dywizji, pozostała w czasie wojny neutralna. Jeśli nie podniesie głowy...

Franco nienawidził komunizmu; komunizm stał się nowym wrogiem.

Tak, słowo „nadzieja” było piękne, lecz tak odległe, niemal egzotyczne.

W polityce spotykały się zaskakująco różne charaktery.

I w polityce, i w życiu, jak Patro i on.

Nie miał ochoty wstawać. Zdawało mu się, że przygniata go

kamienna płyta. A czekał go przecież tylko kolejny zwykły, łagodnie jesienny poniedziałek. Nikt nie zauważył, że został w łóżku, nikomu go nie zabraknie. Jediną osobą, dla której istniał, była Patro, jego Patro, dziewczynka-kobieta, jego cud, a ona zbierała się do wyjścia, do pasmanterii pani Any, na ulicy Gerona, poniżej Aragonu, za torami kolejowymi.

Nagle usłyszał dzwonek do drzwi.

Dzwonek do drzwi.

Ranek już mijał, nie było bardzo wcześnie. Nie miał żadnej stałej pracy, żył z tego, co wyniósł z domu Rodriga Casamajora w lipcu poprzedniego roku i dał Patro, dzięki czemu mogli razem cieszyć się życiem, niemal jak nowobogaccy, chociaż z umiarem, bez ostentacji. O tej porze do drzwi mogły dzwonić tylko sąsiadki albo portierka.

Chciał wstać.

Ale usłyszał głos Patro.

— Ja otworzę!

A po chwili dźwięk otwieranych drzwi.

I męski głos.

Głos silny, głęboki, poważny.

Gdy Patro stanęła w drzwiach sypialni, jej twarz była biała jak ściana.

Jak widmo.

— Miquel...

— Kto przyszedł?

— Ten człowiek... chce z tobą rozmawiać.

— Ze mną?

— Tak.

Nikt nie wiedział, że żyje ani że tu mieszka, z Patro.

Nikt?

— Mówi, że nazywa się Benigno Sáez — szepnęła.

Uderzyła go cisza.

A zaraz potem dudniąca lawina odgłosów z przeszłości.

Patro, w szlafroku i znoszonych domowych pantoflach, stała

w drzwiach, obiema rękami przytrzymując szlafrok przy szyi, jak gdyby bała się, że zemdleje i upadnie jak kiedyś, naga.

To już nie była szczęśliwa i czuła dziewczynka-kobieta sprzed kilku chwil.

— Co ci jest? — zapytał Mascarell.

— Nic, nic.

— Ale ty... drżysz.

— Proszę, później ci powiem. Idź do niego.

Wstał z łóżka i podeszedł do niej, zanim uciekła. Widział zagubiony wzrok, wyczuł strach, drżenie ciała. Serce mu zamarło i ogarnął go niepokój.

— Patro...

— Nie każ mu czekać i, proszę, niech jak najszybciej stąd wyjdzie, błagam, błagam...

Tylko tyle.

Nie udało mu się jej zatrzymać.

Ukryła się na galeryjce, a on spojrzał na korytarz, na którego końcu znajdowała się bawialnia i stał jego gość.

Benigno Sáez de Heredia.

2

Ostatni raz, w sumie chyba trzeci, widział Sáeza w trzydziestym piątym, kiedy prowadził dochodzenie w sprawie zabójstwa kobiety, która pracowała w jego firmie. Już wówczas Benigno Sáez był poważanym przedsiębiorcą i niezmiernie wpływową figurą. Miał wtedy około sześćdziesięciu lat i należał do wyższych sfer barcelońskiej socjety, konserwatywnego mieszczaństwa zakorzenionego w przeszłości. Czas dokonał dramatycznego skoku, lecz pod pewnymi względami niewiele się zmieniło. Mimo upływu trzynastu lat, z jego postaci nadal biła władza i siła, a sztywne wąsy nadawały twarzy wyraz drapieżny i niebezpieczny. Wzrok w prawym, zdrowym oku był równie zimny i bezduszny, jak zimna i bezduszna była przepaska zakrywająca lewe oko. Choć nie był w mundurze, dystynkcje wyczuć można było na odległość. Zdawały się tworzyć niewidzialną powłokę. W trzydziestym piątym, jak wielu spośród przemysłowców przedwojennej Wielkiej Barcelony, Sáez budził szacunek, wyznaczał dystans, ale też powodował, że ktokolwiek miał z nim do czynienia, starał się zachowywać jak największą czujność. Teraz, opowiedziawszy się po stronie faszyzmu, wywoływał jedynie strach.

Budził nieufność.

Trzy kroki.

Trzy pytania.

Co robił w mieszkaniu Patro? Jak go odnalazł? I co, u diabła, od niego chciał?

Trzy pytania i nic, co by mogło naprowadzić na odpowiedzi.

— Inspektorze Mascarell. — Sáez wyciągnął dłoń na powitanie. Mascarell nie mógł jej nie uścisnąć.

Dłoń zimną.

— Już nie inspektor — odparł.

— Może okoliczności są inne, ale to nie znaczy, że z tego powodu człowiek przestaje być tym, kim był.

Dłonie opadły.

Chociaż pogoda ciągle dopisywała, Benigno Sáez miał na sobie lekki jesienny płaszcz. Doskonały krój, świetny materiał. Garnitur też odpowiedni do pory roku, równie elegancki. Po Mascarellu widać było, że ubierał się w biegu. Był nieogolony, włosy przyklepał dłońmi, idąc korytarzem. Przez okna z bezchmurnego nieba padało nieco już anemiczne śródziemnomorskie słońce, tak jakby lato jeszcze się broniło przed odejściem.

— Zechce pan usiąść?

Przybysz zdjął płaszcz i powiesił go na oparciu krzesła. Usiadł w głębokim fotelu, tyłem do okna, niemal się w nim zapadając. Nie wprawiło go to w zakłopotanie. Każde miejsce może być tronem, w zależności od tego, kto na nim zasiada. Założył nogę na nogę, a dłonie skrzyżował na brzuchu. Miquel spojrzał na opaskę na oku. Przylegała gładko, więc nie widać było żadnej blizny ani też twarz nie była w żaden sposób zdeformowana. Lecz opaska, czarna z błyszczącej satyny, bardziej niż cokolwiek innego przypominała flagę.

Mascarell usiadł naprzeciwko.

Pytanie co do powodu wizyty, choć ważne, musiało poczekać. Ważniejsze było inne.

— Jak pan mnie znalazł?

— No cóż — Sáez poruszył niedbale dłonią — nie było to łatwe, ale też i nieszczególnie trudne. Mniej więcej miesiąc temu rozpoznałem pana na ulicy. Zdziwiłem się, bo sądziłem, że pan

nie żyje. Później, kiedy znalazłem się w sytuacji wymagającej pomocy, i to jest cel mojej wizyty, dowiedziałem się z kilku źródeł, że dawny inspektor Mascarell przeżył krucjatę, został uwięziony, skazany na śmierć, ułaskawiony, wysłany do pracy w Dolinie Poległych, gdzie po ośmiu i pół roku, dzięki wspaniałomyślności Caudilla, odzyskał wolność i wrócił do domu.

— Widzę, że ma pan dobre źródła informacji.

— Tak — oświadczył Sáez swobodnym tonem. — A pan ma bardzo piękną żonę.

Być może Patro usłyszała.

A może nie.

Może zamknęła się na galeryjce lub gdzie indziej.

Mascarell spojrział na Benigna Sáeza.

— Zadaje pan sobie pytanie, co tu robię, prawda?

— Tak. Wspomnił pan, że... potrzebuje pomocy.

— Istotnie.

Chwila milczenia. Czyżby mówienie o tym sprawiało mu ból?

Czyżby miał wyjawiać jakąś mroczną sprawę?

— Może bardziej właściwe byłoby powiedzieć, że chciałbym pana zatrudnić do pomocy, jeśli pan woli — powiedział przybysz.

— W jakim charakterze?

— Chodzi pan do kina? — odparł pytaniem. — Ogląda pan amerykańskie filmy kryminalne z detektywami? Ja się nimi zachwycam. Zupełna fikcja, nic wspólnego z naszym światem, oczywiście. Przestępcy, detektywi, Bóg wie co jeszcze. Ale ja się zachwycam. No, a teraz mnie jest potrzebny detektyw, panie Mascarell. Dobry detektyw.

— Nie jestem detektywem.

— Nie, oczywiście, ale był pan doświadczonym policjantem przed powstaniem, a kto był w swojej pracy dobry, dobry pozostał. Nie mam najmniejszej wątpliwości.

Przed chwilą użył określenia „krucjata”, teraz „powstanie”.

Wszystko, tylko nie wojna.

Wszystko, byle nie wojna domowa, bunt wojskowy czy rebelia.

Mascarell patrzył na niego z kamienną twarzą.

— Panie Sáez, minęło prawie dziesięć lat.

— Czy pamięta pan, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni?

— Tak.

— To było w trzydziestym piątym. Nieszczęsny przypadek owej dziewczyny.

— Juanity Sardá.

— Paskudna sprawa, którą pan, i tylko pan, rozwiązał w mgnieniu oka, oszczędzając nam wielu problemów, zwłaszcza mnie i personelowi mojej fabryki. Ciągłe mam w pamięci wrażenie, jakie wywołał na mnie sposób prowadzenia tej sprawy, pański spokój, drobiazgowość w dochodzeniu, pański instynkt.

— Miałem szczęście.

— Proszę nie być taki skromny, inspektorze. Należy jak najlepiej poznać osoby, z którymi ma się do czynienia, szczególnie w interesach. Tak jak zdobyłem informacje o tym, co się z panem działo w ciągu ostatnich lat, tak samo dowiedziałem się więcej o tym, jaki był kiedyś ów policjant. Krótko mówiąc, był nadzwyczaj utalentowanym inspektorem śledczym. I właśnie takiego teraz potrzebuję.

— Dalej nie rozumiem.

— Tak bardzo pana dziwi to, że chcę, aby pan wykonał dla mnie pracę?

— Ja jestem nikim, a najmniej policjantem, od dziesięciu lat nie mam nic wspólnego ze służbą w policji, wszystko się zmieniło, wszystko wygląda inaczej. I nie mam zamiaru angażować się w coś, co zaprowadzi mnie znowu do więzienia. Nie mówiąc już o tym, że na wiele spraw jestem za stary.

Benigno Sáez siedział z twarzą nieruchomą, nie okazując najmniejszej emocji. Nawet kiedy sam mówił, nie zadrgał mu na niej żaden mięsień, poruszały się jedynie usta. Zdrowe oko świdrowało na wskroś, a opaska przydawała złowrogiego wyglądu. Z rzadkimi włosami starannie przczesanymi na prawą stronę i kwadratową szczęką na pewno nie mógł sprawiać wrażenia

czcigodnego dziadziusia.

— Mam władzę, Mascarell — odezwał się powoli, ważąc słowa, starając się, aby dotarło do niego ich znaczenie. — Mam władzę i rozległe wpływy. Mimo to są sprawy, których nie można załatwić... powiedzmy... zwykłymi kanałami. Nie jest to w żadnym wypadku niezgodne z prawem, proszę się nie niepokoić. Czasem okoliczności, jak w tym wypadku, zmuszają do podjęcia takich, a nie innych kroków. Nie mogę zwrócić się do policji, do nikogo właściwie, a tym bardziej, jeśli nie ma... nazwijmy to, kryminalnych podstaw, żeby odszukać ślad czerwonego, komunisty zaginionego jakieś dwanaście lat temu. — Wciągnął głęboko powietrze, po czym mówił dalej: — Wiernych Republice nie ma już w Hiszpanii, nie ma anarchistów ani komunistów, na szczęście. Oprócz kilkunastu szaleńców kryjących się gdzieś w górach, którym w głowach ciągle tkwi przeszłość, nic więcej. Mnie nie obchodzi, czy pan, być może ogarnięty nostalgią, nie znalazłby się wśród nich. Ma pan moje słowo, mnie ta sprawa nie obchodzi. Odbył pan karę i teraz wrócił wolny. I za to niech Bogu będą dzięki. Czy pan chce tego, czy nie, jest pan częścią nowej Hiszpanii. Mam na myśli realistyczną ocenę rzeczywistości, rozumie pan? Wiele nieszczęść na nas spadło od trzydziestego dziewiątego, a jeszcze więcej od trzydziestego szóstego, kiedy śmierć zbierała żniwo i popełniono tyle barbarzyńskich czynów. Któż lepiej niż dawny republikański policjant nadawałby się do odkrycia, co zdarzyło się w Barcelonie osiemnastego i dziewiętnastego lipca trzydziestego szóstego roku? Być może niewiele jest śladów, ale lepiej, żeby znalazł je pan, a nie ktoś oddany reżimowi. Tym kilku osobom cokolwiek jeszcze pamiętającym łatwiej będzie rozmawiać z panem niż ze współczesnym policjantem albo ze mną. To jest najważniejsze. Dlatego pomyślałem o panu, kiedy...

Przerwał.

— Kiedy co, panie Sáez?

Powieka zadrżała Sáezowi i dotknął zdrowego oka.

Pierwszy ludzki odruch.

Może tak. A może nie.

Czarna opaska i proste gęste wąsy odbierały wiarygodność jakiegokolwiek formie wzruszenia.

— Nie mam dzieci — powiedział posępnym tonem. — Dostałem w życiu wszystko poza czymś tak ważnym, jak potomstwo. Zapewniam pana, że zawsze było i jest mi z tym bardzo ciężko.

— O wiele ciężiej jest stracić je w wojnie — odparł Mascarell. Benigno Sáez nie poruszył się.

— Zatem w tym jesteśmy do siebie podobni. — Westchnął, ignorując ton Mascarella. — W moim wieku jedyne, co mi pozostało, to dobre zdrowie. Jedna z moich siostr była zakonnicą, nie żyje od trzydziestego szóstego. Druga zginęła razem z mężem i córką w czasie bombardowania Madrytu w trzydziestym siódmym. Trzecia zmarła kilka dni temu po długiej chorobie. Dla niej, chcąc uszanować jej wolę wyrażoną na łożu śmierci, znalazłem się u pana. Dla niej i dlatego, że jej jedyny syn, mój siostrzeniec, zginął w nocy z osiemnastego na dziewiętnastego lipca trzydziestego szóstego i został pogrzebany w miejscu, którego nigdy nie znaleźliśmy. Nigdy. Zagubione miejsce w Barcelonie, gdzie spoczywa ostatni Sáez.

— Ostatnim jest pan.

— Nie, ostatnim w rodzie Sáezów, tym, który odziedziczyłby wszystko, co stworzył mój dziad, mój ojciec i ja, moje małe imperium, był Pau Cabestany Sáez, mój siostrzeniec, potomek, którego nigdy nie miałem. Przrzekłem mojej siostrze, że odnajdę jego grób i pochowam go obok niej. Obiecałem jej to. A obietnica złożona umierającemu jest święta, Mascarell. Święta. Właśnie do tego pana potrzebuję. Aby pomógł mi pan znaleźć szczątki młodego chłopaka, zabitego niewiele ponad dwanaście lat temu. Rozumie pan?

3

Zdumienie na sekundę odebrało Mascarellowi oddech w piersi. Czując na sobie niespokojne spojrzenie, dopiero po chwili zareagował.

— Chce pan, żebym znalazł... zwłoki?

— Tak.

— Czy zdaje pan sobie sprawę, że...?

— Ze wszystkiego zdaje sobie sprawę — przerwał mu Sáez. — Sądzi pan, że przyszedłbym tutaj, człowiek obcy i stary wróg, gdyby nie to, że pan jest moją jedyną szansą, a ja jestem zupełnie bezradny?

Miquel Mascarell głośno przełknął ślinę.

Dzień, tak pięknie zaczęty, już nie był piękny. Piękny dzień w jednej chwili zamienił się w koszmar. Nagły dreszcz przeszedł mu po plecach. Pogarda, jaką czuł dla wszystkiego, czego symbolem był Benigno Sáez, kostniała w jego umyśle. Nienawiść zastygała, zamieniała się w zimny, wbity w mózg klin. Resztkę sił, oporu, jakie jeszcze zachował, zdmuchnął lodowaty wiatr wiejący z jakichś zakamarków przeszłości.

— Jak zginął pana siostrzeniec?

— Pamięta pan pierwsze godziny powstania?

Znowu to samo.

„Powstanie”, „krucjata”.

Dumę i godność chcieli mu odebrać dawno, w Dolinie Poległych.

— Tak.

— Zamęt, osobiste porachunki, nienawiść, niepewność... — Głos zadrżał na moment. — Po jednej stronie zwolennicy Republiki, po drugiej sprzymierzeńcy nowej władzy. Pan należał do tych pierwszych. Ja do drugich. I niech mi pan wierzy, to już nie ma znaczenia.

— Bo wy wygraliście.

— Nie, nie. — Sáez potarł dłonią czoło. — Ja już jestem stary. Pan też się starzeje. Przyszłość zadecyduje. Dziesięć lat temu sytuacja była inna, inne okoliczności... Inne niż obecne, zwłaszcza po drugiej wojnie światowej. Gdyby nie Franco, Niemcy wciągnęłyby nas do wojny i nie wiadomo, czy dzisiaj nie powiewałaby nad nami francuska albo angielska flaga. Historię czas osądza. My jesteśmy tylko narzędziami, zwykłymi pionkami. Kiedy Hiszpania podzieliła się osiemnastego lipca, wszystkie miasta żyły z nożem na gardle, dopóki kolejno nie przeszły na jedną albo drugą stronę.

— Barcelona była republikańska.

— Tak jak i Madryt. Szkoda, chociaż pan jest pewnie innego zdania. Zaoszczędzilibyśmy sobie cierpienia, bólu, trzech lat walki, głodu, zimna...

Dłonie Mascarella zacisnęły się w pięści.

Miquel. — Usłyszał głos Quimety.

Dlaczego go nie przepędzę? — zadał sobie i jej pytanie.

Bo nie przeżyłbyś, gdybyś był głupi. Pomyśl o Patro.

Wiesz, w co się wplączę?

Odczekaj. Nie spiesz się.

Quimeta...

Przetrwaleś. Zawsze umiałeś spadać na cztery łapy.

— Mascarell?

Otrząsnął się.

Idź już, Quimeta.

— Tak. Przepraszam — zwrócił się do Benigna Sáeza.

— Proszę mnie wysłuchać. Nie zamierzam spierać się z panem, być pana wrogiem, dawnym, ani stać się nim na nowo, kiedy powody są już nieistotne. Proszę tylko, aby pan zajął się czymś, co pozwoli panu przez kilka godzin, kilka dni poczuć się znowu policjantem. I źle pan na tym nie wyjdzie, z każdego punktu widzenia, bo w tych czasach dobrze jest mieć przyjaciół, bez względu na ich barwę. Pan jest człowiekiem inteligentnym. Wie pan, o czym mówię.

— Prosi mnie pan o rzecz niemożliwą.

— Być może. A być może nie. Wierzę, że panu się uda. Instynkt mi to mówi. A mój instynkt nigdy nie bazuje na nadziejach, ale na tym, co wiem o ludzkiej naturze. To kwestia wieku i doświadczenia. Mój siostrzeniec został zamordowany o świcie dziewiętnastego lipca. Zabił go anarchista Bernat Juncosa. To niewiele, zdaję sobie sprawę, lecz tylko tyle udało się nam zdobyć. Czy nie mógłby mi pan podać szklanki wody? Nagle zrobiło mi się sucho w gardle.

Mascarell podniósł się i poszedł do kuchni. Patro stała w korytarzyku oparta o ścianę, ramionami obejmując ciało, ze spuszczoną głową i wzrokiem wbitym w podłogę. Kostki zaciśniętych na szlafroku palców były białe od wstrzymywanego gniewu. Spojrzeli na siebie krótko raz, gdy Mascarell wchodził do kuchni, i drugi raz, gdy z niej wychodził ze szklanką wody. Nie zamienili ani słowa. Na wypadek gdyby gość ich usłyszał, a także dlatego, że... cóż mogli sobie w tej sytuacji powiedzieć? Wystarczyłby jakiś jeden nagły gest, aby jedno i drugie załamało się i sprawiło, że ściągnie na siebie nieszczęście. Na twarzy Patro malowało się przerażenie, na twarzy Miquela zaskoczenie i niepokój.

Wrócił do bawialni i podał wodę Sáezowi.

— Dziękuję.

Gość wypił dwie trzecie szklanki jednym długim haustem, wchłonął wodę jak gąbka. Potem odstawił szklankę na stolik

obok fotografii dwóch sióstr Patro. Tej, która przeżyła, i tej, której już nie było.

We wszystkich domach były takie zdjęcia.

Przed nim, Mascarellem, siedział teraz jeden z tych, którzy mówili o „powstaniu” i „krucjacie”.

I prosił go... o pomoc?

— To miało miejsce na końcu alei de la República Argentina, za ostatnimi domami, u stóp Tibidabo — odezwał się znowu Sáez. — Grupa wolontariuszy ze straży ochotniczej szła przez ulicę del Valle de Hebrón w stronę Rabassady. Usłyszeli strzał i jeden z nich, Pere Collado, odłączył się, żeby sprawdzić, co się stało. I zastał taką scenę: z jednej strony stał Bernat Juncosa z chustką CNT, Narodowej Konfederacji Pracy, na szyi i karabinem w ręce. W pobliżu, na ziemi, leżał mój siostrzeniec, martwy. Juncosa powiedział temu ze straży, że właśnie zabił „przeklętego faszystę”, który udawał, że jest jednym z nich. Collado zaproponował, żeby Juncosa dołączył do jego grupy, ten zgodził się, ale odparł, że zrobi to później, bo chciał tego człowieka pochować.

— Dlaczego chciał tracić czas na coś takiego? — zapytał Miquel.

— Takie samo pytanie zadał mu Collado. Na to Bernat Juncosa odparł: „To jest Sáez, znasz go?”. Collado odparł, że nie, i zabójca mojego siostrzeńca dodał: „To ważna rodzina. Wolę nie zostawiać żadnych śladów, gdyby sprawy się źle potoczyły. W godzinę was dopędzę na Rabassadzie. Nie chcę zostać sam”.

— I to wszystko?

— Pere Collado ruszył za swoimi. Godzinę czy dwie później dołączył do nich Bernat Juncosa.

— Ale dlaczego chciał go pogrzebać? — Mascarell powtórzył pytanie. — To nie ma sensu. Dookoła było wielu zabitych. Jeden mniej czy więcej, choćby i bardzo ważny...

— Nie wiem, Mascarell. — Benigno Sáez rozłożył dłonie. — Sam sobie zadawałem to pytanie i jedyną logiczną odpowiedzią jest ta, którą dał Juncosa. Na wszelki wypadek, ze strachu...

— A jeśli go nie pochował?

— Kiedy Juncosa dołączył do grupy, ręce miał zabrudzone ziemią. To przekonało Collada, że zrobił, co chciał zrobić, że lepiej nie zostawiać śladów.

— Co się stało z Bernatem Juncosą?

— Kilka dni później znalazł się na froncie aragońskim pod dowództwem Durrutiego i zginął w walce.

Miquel Mascarell wyprostował się na krześle.

Sáez prosił go nie tylko o rzecz niemożliwą. Prosił go o rzecz absurdalną.

— A Collado?

— Kiedy skończyła się wojna — po raz pierwszy użył tego niemal zakazanego słowa, z pewnością podświadomie — został aresztowany i w czasie przesłuchania opowiedział o tym incydencie, zapewne w nadziei, że zasłuży sobie na łaskawszy wyrok. Jego opis znajduje się w zeznaniach, do których, na szczęście, mieliśmy wgląd. Niestety, w niczym mu to nie pomogło i został rozstrzelany.

— Miał rodzinę?

— Żonę i syna. Powiedzieli nam, że o niczym nie wiedzą, że nigdy im o tym nie mówił.

Nie po raz pierwszy użył liczby mnogiej.

„Mieliśmy wgląd...”, „Powiedzieli nam, że nic nie wiedzą...”.

— To ma sens, Mascarell — rzekł Sáez. — Bernat Juncosa doskonale wiedział, kim jest mój siostrzeniec Pau. Nie zamierzał pozostawić żadnych śladów. I nie wątpię, że pochował go w jakimś wspólnym grobie. To było właściwie za miastem, u stóp Tibidabo. Wystarczyła kolba karabinu, ręce, mógł też sobie pomagać nożem.

— I pochował go w jakimś miejscu na otwartej przestrzeni, gdzie byle kto mógł go zobaczyć...?

— Jednak musiał to zrobić.

— Rozumie pan chyba, że prosi mnie, abym szukał igły w stogu siana?

— Juncosa na pewno coś komuś powiedział. Nie wiem, wielu

rzeczy nie da się przewidzieć. On należał do anarchistów i dlatego pomyślałem o panu. Ma pan dawne kontakty, doświadczenie, reputację, chociaż czasy już inne. Żyjemy w innej Hiszpanii, lecz gdzieś musi być jakiś ślad, a jeśli jest, pan go na pewno znajdzie. Jest pan moją ostatnią nadzieją. Naturalnie nie proszę, aby pan to robił za darmo. Nie wiem, z czego żyjecie pan i ta młoda dziewczyna ani co was łączy, bo przecież małżeństwem nie jesteście. Zapewniam jednak, że nie ma to dla mnie żadnego znaczenia. Zdaję też sobie sprawę, że nawet jeśli niewiele pan odkryje, i tak będzie to dużo więcej niż to, co ja sam mógłbym znaleźć. Ale powtarzam, instynkt mówi mi, że pan odniesie sukces. A ja pana dobrze wynagrodzę, proszę mi wierzyć. Już teraz na pierwsze wydatki daję panu dwa tysiące peset. To nie znaczy, że jestem hojny, jestem realistą.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął białą, złożoną na pół kopertę. Położył ją na stoliku.

Grubo wypchana.

Dwa tysiące peset.

Mała fortuna.

Po czym przysunął sobie szklankę z resztą wody i opróżnił ją jednym haustem.

Miquel Mascarell siedział nieporuszony.

Z tysiącem dzwonków alarmowych w głowie.

Faszysta prosi go o pomoc. Prośba skrywająca groźbę.

„Nie wiem, z czego żyjecie pan i ta młoda dziewczyna ani co was łączy...”.

— Tu znajdzie pan też mój adres i numery telefonów do domu i do pracy. — Benigno Sáez wskazał na kopertę. — Będzie mnie pan mógł zlokalizować o każdej porze. Niech pan pamięta, że zwracam się do pana dlatego, iż jestem w sytuacji ekstremalnej. Nie mam żadnej innej drogi. Nie trafiłem na żadne ślady, a jeśli jakieś są, to ci, którzy znali Juncosę i Collada, milczą. Ze strachu albo z jakiegoś innego powodu. Ja jednak wiem, że umarli nie znikają ot tak. Nikt nie odchodzi z tego świata, Mascarell, nie

pozostawiając śladu. Gdzieś coś musi się znajdować. Trzymam się tej myśli i z panem wiązę moją ostatnią nadzieję. Jeśli panu się nie powiedzie... — Pokręcił głową i westchnął ciężko. — Przysięgłem siostrze, że jej syn spocznie u jej boku, i chcę słowa dotrzymać. Jeśli pan znajdzie jego grób, zapewniam pana, przysięgam, że życie pana i tej dziewczyny będzie dużo lepsze. Nawet będę mógł sprawić, aby pan odzyskał stanowisko...

— Będę już emerytem — przypomniał mu Mascarell.

— Czy pan mi pomoże?

Dał się zapędzić w ślepą uliczkę.

Być może „Pana życie będzie dużo lepsze”, ale równie dobrze skończyć się może „dużo gorzej”.

Obydwaj o tym wiedzieli.

— Oprócz tego, co pan wyda na poszukiwania, dostanie pan dziesięć tysięcy peset, jeśli to zadanie zakończy się sukcesem. Potrafię okazać wdzięczność — powtórzył Benigno Sáez. — Nie zamierzam prosić pana, żeby nabrał dla mnie przyjaznych uczuć albo żeby pan myślał, że robi to dla nienawistnego wroga czy że pan się sprzedaje. Oprócz spełnienia dobrego uczynku wobec zmarłej matki jest to praca. Po prostu praca. Niech pan tak na to spojrzy. Praca, dzięki której przez kilka dni poczuje się pan znowu policjantem.

W lipcu tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego, po powrocie do Barcelony, usłyszał ten sam argument i dał się wpakować w niemałe kłopoty.

Chociaż dzięki temu odnalazł Patro.

I finansowo nie było źle.

Tak, a teraz został przyparty do muru.

Jeśli odmówi, będzie musiał pożegnać się ze spokojnym życiem, porzucić oazę szczęśliwości z Patro. Dobraliby się do niego. Dawna prostytutka i uwolniony z frankistowskich więzień komunista, żyjący „w grzechu”. Wystarczyłoby.

— Czy napije się pan jeszcze wody?

— Nie.

Miquel Mascarell starał się szybko myśleć.

Niemożliwe.

Nie miał czasu.

Nie miał nic.

— Proszę powiedzieć wszystko, co pan wie. Ze szczegółami — usłyszał własny głos.

Benigno Sáez odetchnął z ulgą.

Zniknęła ostatnia wątpliwość.

— Tamtego dnia, kiedy wiadomość o powstaniu już się rozeszła i ludzie wybiegli na ulice, słyszeli dochodzące zewsząd sprzeczne informacje, Pau wyszedł spotkać się ze swoją dziewczyną, Leonor Miralles, u niej w domu. Ale jej rodzice wcześniej zdecydowali się wyjechać do letniego domu w Masnou, i Pau już tam nikogo nie zastał. Poszedł więc zobaczyć się ze swoimi kolegami, Manelem Molinsem i Ricardem Capdevànolem. Pokłócili się o to, co powinni zrobić w nowej sytuacji, i Pau wrócił do domu zmieniony, bardzo niespokojny. Moja siostra chciała zamknąć się w domu na cztery spusty i spokojnie oczekiwać na rozwój wypadków, ale Pau... Myślę, że wszyscy kiedyś byliśmy młodzi. — Sáez zacisnął wargi. — Romantyczne uniesienia, heroiczna walka, młodzieńcze iluzje... Cóż, na pewno sam pan wie. Po południu, kiedy sytuacja się jeszcze bardziej skomplikowała i nadchodziły coraz bardziej chaotyczne wiadomości, Pau wyszedł z domu i to był ostatni raz, kiedy matka go widziała. Nie wrócił tego wieczoru ani w kolejne dni. Barcelona stanęła po stronie republikańskiej i siostra miała mglistą nadzieję, że Pau dołączył do walki... nie wiem. Na pewno nie dopuszczała myśli, że może już nie żyć. Ja, na nieszczęście, byłem poza Barceloną i...

— Ukrywał się pan?

— Byłem poza Barceloną. — Sáez starał się nie okazać irytacji.

— Nie miałem powodu, żeby się ukrywać. Przez kilka tygodni usiłowaliśmy się dowiedzieć, co się stało, zdobyliśmy nazwisko Bernata Juncosy, ale wtedy on też już nie żył.

— Co pan o nim wie?

— Niedużo. To był rozrabiaka, anarchista, samotnik, niebezpieczny... Wygląda na to, że Pau i on poznali się niewiele wcześniej. Nie wiem, w jakich okolicznościach. Jedyne sensowne wnioski są takie, że natknął się gdzieś na mojego siostrzeńca i zabił go tylko dlatego, że nosił takie nazwisko i należał do rodziny o poglądach monarchistycznych, katolickiej, antyrepublikańskiej, antyseparatystycznej i antykomunistycznej. Inne wytłumaczenia nie widzę.

— Skoro zabójca nie żyje, ślad jest nikły.

— Kiedy Juncosa zabił mojego siostrzeńca, nikogo nie było w pobliżu, ale przedtem widziano ich w towarzystwie młodych uzbrojonych chłopców, pewnie polujących na inne ofiary. Trudno powiedzieć, kto był z kim albo przeciwko komu. W jednej grupie mogły być różnice zdań. Albo wszyscy zginęli, albo ze strachu nic nie mówią. Może wobec pana go przełamają.

— A adresy tych osób, dziewczyny Pau, Manela Molinsa, Ricarda Capdevànola...?

— Wszystko jest tutaj. — Sáez wskazał kopertę z pieniędzmi na stoliku obok fotografii i pustej szklanki. — Nazwiska, adresy, informacje, kto żyje, kto nie...

Miquel Mascarell wyciągnął rękę.

Nie dotknął pieniędzy. Pięćdziesięciopięciusetowych banknotów.

Przebiegł wzrokiem listę napisaną na maszynie na czysto, bez poprawek.

— Nie ma tu jednego adresu.

— Czyjego?

— Pana siostry.

— Tam już nikt nie mieszka. Dom jest zamknięty.

— Nie szkodzi.

— Dobrze. Proszę zapisać.

— Mam dobrą pamięć.

Benigno Sáez podał mu adres. Nie był trudny, rzeczywiście nie musiał go zapisywać. Zapadła cisza, jak gdyby nie zostało nic więcej do powiedzenia.

Może istotnie tak było.

Patro pewnie dalej stoi w korytarzu.

Śmiertelnie przerażona.

Dlaczego?

— Dobrze, panie Sáez. Zrobię to, o co pan mnie prosi. — Mascarell wstał. Chciał się go jak najszybciej pozbyć.

Sáez z trudem wydostał się z głębokiego fotela. Obciągnął marynarkę i wziął z krzesła jesienny płaszcz.

Szary. Jak jego twarz.

— Nie będzie pan żałował, inspektorze. — Użył dawnej rangi, chcąc mu się przypochlebić.

Mascarell już żałował, lecz nic nie powiedział.

— Rozumie pan, jak trudne daje mi pan zadanie.

— Tak, wiem o tym.

— Jeśli mi się nie powiedzie...

— Jestem przekonany, że się panu powiedzie. — Benigno Sáez położył dłoń na jego ramieniu.

Ten nacisk...

— Mam jeszcze dwa pytania.

— Słucham.

— Ile lat miał pana siostrzeniec?

— Dwadzieścia cztery.

— I druga rzecz, dlaczego pańska siostra czekała tak długo, żeby prosić pana o odnalezienie szczątków?

Przez chwilę Sáez milczał.

Zdrowe oko zamigotało i przygaśło.

— Nie wiem. — Miał nadzieję, że słowa zabrzmiały szczerze. — Przypuszczam, że na łożu śmierci człowiek przebiega wstecz swoje życie, wiele rozumie i nagle zdaje sobie sprawę, że nadchodzi kres... Tego nie można wiedzieć wcześniej, prawda? Przez te wszystkie lata moja siostra żyła załamana, zgorzkniała, winiła siebie za to, że pozwoliła synowi wyjść wtedy z domu. Kiedy prosiła mnie, żebym pochował go obok niej... Mogłem tylko przysiąc, że to zrobię, jestem związany przysięgą. Jednak szybko

zorientowałem się, co to może oznaczać, jak podejrzone mogą być pytania zadawane tyle lat po wydarzeniach. A kiedy zobaczyłem pana na ulicy, wróciła nadzieja. Dawny policjant do dawnej sprawy, zapomnianej, ale niezamkniętej. Cóż innego mogę powiedzieć?

— Zapewne nic.

Benigno Sáez ruszył do wyjścia.

Patro nie było już w korytarzu.

W mieszkaniu panowała cisza.

Niechętny pożegnalny uścisk dłoni, trzask zamykanych drzwi. Mascarell wiedział, że ta cisza była ciszą przed burzą.